

Wańka



ANTON CZECHOW

Wańka

TEUM. A. W.

Wańka Żuków, oddany przed trzema miesiącami do terminu do szewca Alochina, w wigilię Bożego Narodzenia nie kładł się spać. Doczekawszy czasu, kiedy majster i czeladnicy poszli na pasterkę, wydobyl z majstrowej szafy flaszeczkę z atramentem, pióro z zardzewiałą stalówką i, położywszy przed sobą pomięty arkusz papieru, zaczął pisać.

Zanim nakreślił pierwszą literę, obejrzał się kilka razy trwożliwie na drzwi i okno, zerknął na pociemniały święty obraz, od którego w obie strony wzdłuż ścian ciągnęły się półki z kopytami, i westchnął przeciągle. Papier leżał na ławce, chłopiec zaś sam klęczał przed nią.

„Miły dziaduniu, Konstanty Makaryczu! — pisał. — Piszę do ciebie list. Ślę ci życzenia z okazji świąt Bożego Narodzenia wszystkiego najlepszego od Pana Boga. Nie mam ani ojca, ani matuli, tylko ty jeden mi zostałeś.”

Wańka skierował wzrok na ciemne okno, w którym migotało odbicie jego świeczki, i jak żywy stanął mu przed oczyma dziadek, Konstanty Makarycz, który służył za nocnego stróża u państwa Żywarowych. Jest to drobny, chuderlawy, ale niezwykle żywy i ruchliwy starsuszek lat sześćdziesięciu pięciu, z wiecznie uśmiechniętym i pijanym wzrokiem. Za nim, łeb opuściwszy, stąpa stara suka „Kasztanka” i pies „Piskorz”, nazwany tak z powodu czarnej sierści i długiego, jak u łasicy, ciała. Ten „Piskorz”, uniżony i łagodny, jednakowo uprzejmie patrzy na swoich i na obcych, ale nie cieszy się zaufaniem. Pod tą uniżonością i pokorą kryje się jezuicka przewrotność w najwyższym stopniu. Nikt lepiej od niego nie potrafi podkraść się i capnąć za nogę, wleźć do lodowni albo ukraść chłopu kurę. Już niejednokrotnie podbijano mu tylne nogi, dwa razy go wieszano, co tydzień bito go prawie na śmierć, ale za każdym razem przychodził do siebie. Teraz dziadek na pewno stoi przed bramą, mruży oczy na jaskrawoczerwone okna cerkwi i przytupując wojłokowymi butami, gawędzi z czeladzią. Kołatka wisi mu u pasa. Klaszcze w ręce, zżyma się na chłód, starczo chichocze, szczypie to pokojówkę, to kucharkę.

— Tabaczkę sobie zażyjemy, co? — mówi, podstawiając babom swoją tabakierkę.

Baby zażywają i kichają. Dziad wpada w niezwykle zachwyty, zanosi się od wesołego śmiechu i krzyczy:

— Odrywaj, przymarzło!

Dają powąchać tabaki psom. „Kasztanka” kicha, kręci mordą i obrażona, odchodzi. „Piskorz” przez szacunek nie kicha, lecz kręci ogonem. Pogoda zaś jest cudowna. Powietrze spokojne, przezroczyście, mroźne. Noc ciemna, ale widać dobrze całą wieś, jej białe dachy i smugi dymu unoszące się z kominów, drzewa posrebrzone szronem, grudy śniegu. Całe niebo zasiane wesoło migoczącymi gwiazdami, a drogę mleczną widać tak wyraźnie, jakby ją umyto na święta i wytarto śniegiem. Wańka westchnął, umoczył pióro i pisał dalej:

„...A wczoraj dostałem smarowanie. Majster wywlókl mnie za włosy na dwór i wysmarował pocięglem za to, że kołysząc dziecko, niechcący zasnąłem. W tygodniu majstrowa kazała mi oprawić śledzia, a gdy zacząłem od ogona, to wzięła główkę śledzia i tkala mi ją do gęby. Czeladnicy się ze mnie śmieją, posyłają do szynku po wódkę i każą kraść majstrowej ogórki. A majster bije, czym się zdarzy. I karmi tu okropnie. Rano dają chleba, na obiad — kaszy, a wieczorem — też chleb, a żeby herbaty albo kapuśniaku, to gospodarze sami żłopią. Spać — to mi każą w sieni, a kiedy ich dzieciak płacze, to wcale nie śpię, tylko muszę go kołysać. Drogi dziaduniu, na miłość Boską, weź mnie stąd na

wieś, bo już wcale nie mogę. Kląnam się do nóg i będę wiecznie Boga prosił, zabierz mnie stąd, bo zamrę...”

Wańka wykrzywił usta, potarł oczy czarną piąstką i zaczął łkać.

„...Ja ci będę tytoń rozcierał — pisał dalej — do Boga będę się modlił, a gdy ci się co nie spodoba, to bij mnie, jak psa. A jeżeli myślisz, że dla mnie miejsca nie ma, to ja poproszę rządcę, żeby mnie wziął do czyszczenia butów albo zamiast Fiedźki, będę pastuszkciem. Dziaduniu drogi, nie ma tutaj innego wyjścia, tylko śmierć. Chciałbym pieszo uciec na wieś, ale butów nie mam, boję się mrozu. A jak wyrosnę duży, to za to będę cię żywił i nikomu nie dam cię skrzywdzić. A jak umrzesz, będę się modlił za spokój twojej duszy, wszystko jedno, jak za mamę Pelagię.

A Moskwa — miasto duże. Wszystkie domy pańskie i koni dużo, a owiec nie ma i psy nie są złe. A z kolędą tu nikt nie chodzi i na chór nikogo nie puszczają śpiewać, a raz w sklepie widziałem, że sprzedają haczyki razem z nitką i na wszelką rybę, bardzo dobre, nawet taki jest jeden haczyk, co pudowego suma utrzyma. I widziałem takie sklepy, co w nich strzelby sprzedają wszelakie w rodzaju takiej, jak ma nasz pan, tak, że może ze sto rubli kosztuje jedna. A w sklepach mięsnych i cietrzewie są, i jarzabki, i zające, ale kupcy tego nie powiedzą, gdzie na nie polują.

Drogi dziaduniu, a kiedy u państwa będzie choinka z podarunkami, to weź dla mnie złocony orzech i schowaj go do zielonej skrzynki. Poproś panienkę Olgę, powiedz, że dla Wańki.”

Wańka konwulsyjnie westchnął i znowu utkwiał wzrok w oknie. Przypomnił sobie, że zwykle po choinkę dla państwa chadzał do lasu dziadek i brał ze sobą wnuka. Wesole były czasy! Zwykle przed ścięciem choiny dziadek wypalał fajkę, długo zażywał tabakę i szydził sobie z przeziębłego Wańki... Młode jodły, otulone szronem, stoją nieruchomie i oczekują, która z nich ma umrzeć... Nagle, ni stąd, ni zowąd, mknie zając po śnieżnych grudach. Dziadek nie może się powstrzymać, by nie krzyknąć:

— Łapaj, łapaj... łapaj... ach, diabeł kusy!

Ściętą choinkę dziad ciągnął do dworu, a tam zaczynali ją ozdabiać... Najwięcej krzątała się panienska Olga, ulubienica Wańki. Za życia jego matki Pelagii, która służyła u państwa za pokojówkę, Olga dawała Wańce karmelki i nie mając co robić, nauczyła go czytać, pisać i liczyć do stu i nawet tańczyć kadryla. Po śmierci zaś Pelagii, sierotę Wańkę wyprawiono do kuchni czeladnej, do dziadka, a z kuchni — do Moskwy, do szewca Alochina...

„...Przyjeżdżaj, miły dziaduniu” — pisał dalej Wańka. — Błagam cię na Pana Jezusa, weź mnie stąd. Zlituj się nade mną, sierotą nieszczęśliwym, bo tu mnie wszyscy biją i jeść mi się strasznie chce, a nudno tak, że wypowiedzieć nie umiem, ciągle tylko płaczę. A niedawno majster kopytem mnie po głowie uderzył tak, że upadłem i ledwom wstałem... A jeszcze kląnam się Alenie, ślepemu Jegorce i furmanowi, a harmonii mojej nikomu nie dawaj. Zostaję twój wnuk Iwan Żuków, miły dziaduniu, przyjeżdżaj.”

Wańka złożył we czworo zapisany arkusz i włożył go do koperty, kupionej wczoraj za kopiejkę. Pomyślawszy trochę, umoczył pióro i napisał adres:

Na wieś do dziadunia

Potem podrapał się w głowę i dodał: „Konstantemu Makaryczowi”. Zadowolony, że mu nikt nie przeszkodził w pisaniu, włożył czapkę i nie narzucając na siebie kożuszka, w koszulinie tylko wybiegł na ulicę...

Subiekci ze sklepu mięsnego, których rozpytywał poprzedniego dnia, powiedzieli mu, że listy wrzucą się do skrzynek pocztowych, a ze skrzynek zostają rozwożone po całym kraju na trójkach pocztowych z pijanymi woźnicami i dźwięcznymi dzwonekami. Wańka dobiegł do pierwszej skrzynki pocztowej i wsunął cenny list do otworu. Ukołysany słodkimi nadziejami w godzinę później, spał mocno. Śnił mu się piec. Na piecu siedzi dziadek ze spuszczoneymi bosymi nogami i czyta list kucharkom. Koło pieca chodzi „Piskorz” i kręci ogonem...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/wanka>

Tekst opracowany na podstawie: Anton Czechow, *Śmierć urzędnika*, tłum. A. W., "Biblioteka Groszowa", Warszawa, 1926

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Aleksandra Żurek.

ISBN 978-83-288-0161-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).